

# Bony oświatowe: co poszło nie tak?

31 lipca 2015

Kalifornijska propozycja 174 do dziś pozostaje najbardziej ambitną próbą wprowadzenia bonów edukacyjnych. Opracowanej ze znacznym wyprzedzeniem reformie przewodził, dochowując należytej staranności, weteran takich kampanii, a całości towarzyszyła ogólnokrajowa agitacja konserwatystów i libertarian. Program wypróbowano w stanie, gdzie zdaniem wszystkich zainteresowanych system edukacji publicznej poniósł sromotną klęskę. Jednak mimo to 2 listopada propozycja przegrała w każdym hrabstwie, odrzucona przez wyborców stosunkiem głosów 7:3.

Co poszło nie tak, jak powinno? Pomysłodawcy winy szukali w przewadze finansowej przeciwników, wspomaganych przez związki zawodowe nauczycieli. Ale wrogość nauczycieli ze szkół państwowych była nie do uniknięcia i z góry wliczono ją w koszty. Poza tym w 1978 roku przeciw propozycji 13, obniżającej w Kalifornii podatek od nieruchomości, establishment i związki wydały o wiele więcej pieniędzy, a jednak wygrała ona w stosunku ponad 2:1. W przypadku bonów brak pieniędzy był tylko odzwierciedleniem braku poparcia przy urnach.

Obrońcy bonów edukacyjnych, niczym ruch feministyczny, który starał się przepchnąć poprawkę o równouprawnieniu, przyjęli przegraną z oburzeniem, zarzekając się, że swoje próby będą powtarzać aż do skutku. Lecz środowiska feministyczne, mimo początkowych pokrzykiwań, przekonały się, że nie mogą wygrać, więc potraktowały swój projekt jak kłopot, który trzeba po prostu niczym zgniłe jajko wyrzucić do kosza na śmieci. Być może ludzie popierający bony edukacyjne podobnie spojrzą wreszcie prawdzie w oczy i przemyślą raz jeszcze cały swój program? Można mieć jedynie nadzieję, że nie pominą przy tym

wyborców, starając się narzucić reformę za pomocą jakiegoś nakazu władzy wykonawczej czy sądowniczej. Prawdziwym źródłem problemu jest bowiem sam zamysł bonów edukacyjnych.

Obrońcy bonów wyszli od spostrzeżenia, że coś bardzo złego stało się z systemem edukacji publicznej. Przede wszystkim coś, co dotyczy każdej działalności państwowej – jej siłą napędową nie jest wolny rynek, ale przemoc. Brak efektywności ekonomicznej jest w tym wypadku nieuchronny. Na wolnym rynku brak skuteczności uniemożliwia zdanie testu zysków i strat, wymuszając redukcje, podczas gdy niegospodarność państwa powoduje tylko dalszy wzrost skali marnotrawstwa. System podatkowy oraz lobbying zainteresowanych grup wpływu sprawiają, że system rośnie jak na drożdżach, a właściwie to jak nowotwór.

Kolejnym poważnym problemem szkół publicznych, który odróżnia je od innych wypełnianych przez państwo zadań, takich jak wodociągi czy transport, jest to, że zajmują się one niezwykle istotnym zadaniem nauczania dzieci i młodzieży. Państwowe szkolnictwo z natury będzie się opowiadało za etatyzmem i wszczepianiem swoim ofiarom posłuszeństwa wobec rządu czy modnych celów politycznych.

Konserwatyści oraz libertarianie, którzy wpadli na pomysł bonów edukacyjnych, wiedzą o tych bardzo wyraźnych wadach. Jednakże chcąc szybko rozwiązać sprawę, pominęli wiele innych, równie ważnych aspektów sprawy.

System państwowego kształcenia ma jeszcze dwa poważne defekty. Po pierwsze, jest programem opartym na redystrybucji. Podatnicy w jego ramach zostają zmuszeni do tego, aby finansować edukację dzieci innych obywateli, z ubogimi na czele. Po drugie, przymus egalitarystycznej „demokracji” jest ideałem wtopionym w samo serce systemu. Aby zadośćuczynić tej doktrynie, klasa średnia została przymuszona do integracji z dziećmi ludzi biednych, które często są niezdolne do nauki, a nawet zdążyły już wejść na drogę przestępstwa.

Po trzecie, choć zasadniczo wszystkie szkoły publiczne należałoby zlikwidować, to część z nich znajduje się w stanie o wiele gorszym niż inne. Pozytywny wyjątek stanowi wiele szkół na przedmieściach – ich uczniowie stanowią grupę jednorodną, a wielu z nich to dzieci uzdolnione. Przy tym placówki te są w dostatecznym stopniu kontrolowane przez rodziców. Z tych względów szkoły pracują więc na tyle sprawnie, aby zadowolić okoliczne rodziny korzystające z ich usług.

John J. Miller, jeden ze zwolenników bonów edukacyjnych, pisał w „The Wall Street Journal”: „większość mieszkańców przedmieść – zwykle zwolenników Partii Republikańskiej – jest zadowolona z systemu wychowawczego dzieci, które już teraz dostają dobre stopnie [...] i mają prawo wstępu na najlepsze uczelnie. Co więcej, dostatek przedmieść zapewnia wolność wyboru zamieszkania, dając przynajmniej trochę kontroli nad selekcją szkoły. [...] Ostatnią rzeczą, jakiej pragną ci zadowoleni rodzice, jest rewolucja w szkolnictwie”.

Dobłą praktyką wszelkich rewolucjonistów, czy to edukacyjnych, czy innych, byłoby skrupulatne rozważenie wszystkich potencjalnych problemów i konsekwencji na długo przed rzuceniem się do demolowania delikatnych struktur społecznych. Skutkiem ciężkiej pracy rewolucjonistów od bonów nie byłoby wcale zaradzenie problemom publicznego szkolnictwa, lecz pogorszenie tych już istniejących.

Bony edukacyjne zdecydowanie poszerzyłyby zakres systemu socjalnego, nakazując podatnikom z klasy średniej finansować kształcenie biednych zarówno za pieniądze prywatne, jak i za publiczne. Ludzie pozbawieni potomstwa i rodzice, którzy sami uczą swoje dzieci, także musieliby na to płacić podatki. Pamiętając o tym, że za subsydiami zasadniczo zawsze idzie kontrola, nietrudno dojść do wniosku, że system bonów rozciągnąłby władzę państwa na przedtem relatywnie wolne szkoły prywatne.

Plan wprowadzenia bonów okazałby się szczególnie groźny dla przedmieść, psując względnie wartościowe szkoły podmiejskie. Musiałyby się one podporządkować nowej odmianie egalitarystycznego obowiązku zapewniania autobusów wożących dzieci do szkoły (busing), jako że mogłyby do nich uczęszczać dzieci z biednych dzielnic. Ten element „rewolucji w edukacji” byłby jak najbardziej niepożądany.

Co więcej, niemądrze skupiając się na rodzicielskim „wyborze”, rewolucjoniści od bonów zapomnieli, że zwiększenie zakresu „wyboru” biednych rodziców kosztem podatników jednocześnie ogranicza prawa rodziców z przedmieść i tych, którzy posyłają swoje dzieci do szkół prywatnych. Pozbawia ich bowiem prawa do „wyboru” takich modeli kształcenia, jakich oni sami pragną dla własnych dzieci. Nasza uwaga powinna się więc skupić nie na jakimś abstrakcyjnym „wyborze”, lecz na pieniądzu. Im więcej zarabiasz ty i twoja rodzina, tym większy masz wybór co do sposobu wydania tych pieniędzy.

Ale to nie wszystko. Przecież sam pomysł bonów na jakieś konkretne dobra czy usługi jest czystym nonsensem – dotyczy to wszystkich ich odmian: bonów edukacyjnych, żywnościowych, mieszkaniowych, telewizyjnych, bez wyjątku. Dotychczas najlepszym bonem – i to jedynym potrzebnym – był pieniądz, zarobiony uczciwie, nie poprzez grabienie innych ludzi, w tym podatników.

Niewyjaśnioną chyba tajemnicą pozostanie, jak to się stało, że konserwatyści i wolnościowcy dali się w tę pułapkę złapać, porzucając dla „realizmu politycznego” zasady wolności i własności prywatnej, a zamiast tego włożyli wysiłek i środki w przegraną sprawę. Zapomnieli o obronie wartości podstawowej, jaką jest prawo własności prywatnej. Zamiast tego rzucili się w pogoń za rzekomo realistycznymi celami pomocy biednym i poszerzania sfery równości. Bony poniosły klęskę, gdyż obywatele chcieli ochronić swoje społeczności przed pustoszeniem ich mienia przez państwo. Obrońcom bonów należała się porażka.

Jeśli amatorzy bonów nie zatracili się jeszcze ostatecznie w swoim mariażu z państwem dobrobytu, to w jaki inny sposób mogą bronić sprawy w sposób „pozytywny” i realistyczny, nie zostawiając przy tym na lodzie głoszonych przez siebie zasad wolności i własności? Mogą: 1) odrzucać regulacje nakładane na szkoły prywatne, 2) obcinać rozdęte do granic wytrzymałości budżety szkół publicznych, 3) dążyć do oddania rodzicom i podatnikom pełnej kontroli nad szkołami publicznymi na poziomie lokalnym, oraz 4) opowiadać się za obniżką podatków, by ludzie mogli wybierać szkoły prywatne.

Pozwólmy każdej społeczności lokalnej decydować o szkołach, a rząd centralny i administracja niech wyniosą się, gdzie pieprz rośnie. Twardogłowi obrońcy bonów – z których większość to mieszkańcy Waszyngtonu, Nowego Jorku lub Los Angeles – powinni też wyjść z domów i przeznaczyć nadmiar swojej energii na naprawę dysfunkcyjnych szkół publicznych na ich własnym miejskim podwórku.

Autorstwo: Murray N. Rothbard

Tłumaczenie: Jan Lewiński

Fragment książki „Ekonomiczny punkt widzenia”

Źródło: [Mises.pl](http://Mises.pl)